

Pierwsza powieść jednej z najważniejszych pisarek hiszpańskojęzycznych

Fernanda Melchor

Fałszywy

*przetłumaczyła
Katarzyna Samowska*

zając

Fernanda
Melchor

Fałszywy
zając

Z hiszpańskiego przełożyła
Katarzyna Sosnowska



TYTUŁ ORYGINAŁU:

Falsa liebre

Redaktorka prowadząca: Marta Budnik

Wydawczyni: Monika Rossiter

Redakcja: Ewa Kosiba

Korekta: Beata Wójcik

Projekt okładki: Tomasz Majewski

Zdjęcie na okładce: Jean-Baptiste Oudry,

A Hare and a Leg of Lamb / dag.m.wikipedia.org

Wyklejka: Pisanello, *Codex Vallardi* / commons.wikimedia.org

DTP: pagegraph.pl

Copyright © Fernanda Melchor 2022

First published in Spanish language under the title *Falsa liebre*

Published by arrangement with Literarische Agentur Gaeb & Eggers

and Book/lab Literary Agency.

Copyright © 2025 for the Polish edition by Mova an imprint of Wydawnictwo KobiECE

Agnieszka Stankiewicz-Kierus sp.k.

Copyright © for the Polish translation by Katarzyna Sosnowska, 2025

Wszelkie prawa do polskiego przekładu i publikacji zastrzeżone. Powielanie i rozpowszechnianie z wykorzystaniem jakiejkolwiek techniki całości bądź fragmentów niniejszego dzieła bez uprzedniego uzyskania pisemnej zgody posiadacza tych praw jest zabronione.

Wydanie I

Białystok 2025

ISBN 978-83-8371-795-1

Grupa Wydawnictwo KobiECE | www.WydawnictwoKobiECE.pl



I

Z czołem przyłożonym do szyby Andrik wpatrywał się w noc. Deszcz obmywał fasady uśpionych o tej porze domów, wprawiał w drżenie korony drzew i tworzył kałuże rozjeżdżane przez pędzący aleją samochód.

Na szybie połyskiwały krople, które okrutny wiatr rozciągał w nitki wody, pchał w stronę krawędzi okna i brutalnie od niego odrywał. Andrik próbował im pomóc: podawał bezbronnym kroplom palec wskazujący, żeby przyczepione do jego ciała mogły się uratować, ale lodowate szkło mu to uniemożliwiało.

– Cholera jasna – warknął mężczyzna – nie brudź mi szyb.

Andrik odsunął się od okna. Ukradkiem dotknął twarzy. Ręka i policzek były już suche dzięki samochodowej klimatyzacji, ale woda z jego ubrania nadal wsiąkała w tapicerkę. Czuł sterczące z powodu zimna sutki, nie chciał jednak krzyżować rąk na piersi. Wiedział, że mężczyzna jest na niego wściekły, że w każdej chwili może wybuchnąć – lepiej mieć wolne dłonie.

– A ta czapka...

Tylko wzruszył ramionami, gdy otrzymał cios w głowę. Czapka spadła na podłogę; nie odważył się jej podnieść.

– Skąd ją wytrzasnąłeś? Wyglądasz jak pieprzony idiota.

Oddech mężczyzny wypełniał zmrożone powietrze. Pachniał kwaskowato, jak ryba w zalewie.

Andrik zerknął na prędkościomierz na cyfrowym wyświetlaczu samochodu. Dziewięćdziesiąt pięć, dziewięćdziesiąt osiem, sto pięć kilometrów na godzinę. Silnik zagłuszał dźwięki deszczu uderzającego w dach, skrzywienie wycieraczek. Chłopak spojrzał na ręce oparte o kierownicę: zbielałe knykcie, usztywnione przedramiona, wymiętoszona błękitna koszula z niechlujnie zakasanyimi rękawami. Na prawym nadgarstku brakowało zegarka – zdradzał to pasek jasnej skóry.

Mężczyzna nigdy nie wychodził z domu bez zegarka. Zakładał go zawsze rano na samym początku, nawet jeszcze przed bielizną. I nigdy nie włożyłby zaplamionej koszuli.

– I wyjmij tego palucha z buzi...

Zaskoczony Andrik spojrzał na swój kciuk. Kiedy włożył go do ust? Na skraju paznokcia pojawiła się krew, przegryzł się do mięsa. Przycisnął palec do wilgotnej koszulki, wkrótce przestał go piec.

Coś jest nie tak.

Kawałek odgryzionego paznokcia kłuł go w tylną część języka. Wolał go połknąć niż wypluć – nie chciał, żeby mężczyzna go na tym przyłapał.

Coś się dzieje.

Andrik potrząsnął głową.

Popatrz na niego...

„Cicho bądź”, błagał w ciszy.

No popatrz tylko.

Andrik szybko zerknął w tamtą stronę. Do tej pory nie zdawał sobie sprawy, że mężczyzna nie miał też okularów. Jego twarz była bardziej naga i surowa niż zwykle, postarzał się.

A koszula...

„Ta sama, którą włożył rano”, pomyślał.

Wczoraj rano.

Andrik rozpaczliwie wypuścił powietrze.

Wrócił do domu, ciebie tam nie było, więc wyruszył na poszukiwanie. Szukał cię całą noc.

Za pięć trzecia, odczytał na samochodowym wyświetlaczu. Do świtu pozostało jeszcze sporo czasu. Ulice nadal były puste; nawet taksówkarze nie odważyli się wyruszyć na miasto w taką ulewę. Światła uliczne nie działały, błyskały tylko bursztynowo. Kolor ostrzegawczy.

Ponownie spojrzął na ręce na kierownicy, na przyciśnięte do boków łokcie, woskową twarz o napiętych rysach.

„Znalazł mnie”, pomyślał. Poczul nagły zachwyty.

Przymknął na chwilę oczy, a gdy ponownie je otworzył, zauważył z ulgą, że byli blisko domu. Poznał okolicę po moście, a raczej jego światłach barwiących strugi deszczu na końcu alei, tam gdzie znajdowały się

widowiskowe reklamy. Andrik nie wiedział, co się mieści po drugiej stronie przeprawy – na podstawie zielonych drogowskazów, które udało mu się przeczytać, zakładał, że miasto przeradza się tam w sieć dróg prowadzących do stolicy, do północnych stanów, do najbardziej odległych nabrzeży portu.

Mężczyzna odchrząknął, a potem odezwał się ochrypłym głosem:

– Zgadnij, kto cię odwiedził.

Samochód minął pulsujący semafor, ostatni na tej drodze. Nie powinien tutaj skręcić w lewo? Łysy ostrzegł go, żeby zwracał uwagę na takie rzeczy, żeby zawsze starał się zapamiętać miejsca, nazwy ulic, numery rejestracyjne aut, do których wsiadał. Ale zbyt dużo czasu spędził zamknięty w domu mężczyzny i słabo już pamiętał niektóre fragmenty drogi.

– Mówię do ciebie, do cholery.

– Nie wiem – odparł mechanicznie Andrik.

Ale oczywiście wiedział.

– Zgadnij...

Wzruszył ramionami. Nie mógł już znieść zimna klimatyzacji. Skrzyżował ręce na piersi i wsadził dłonie pod pachy. Lepsze to niż obgryzanie paznokci, które zdradzało jego napięcie.

– Twój brat – powiedział mężczyzna.

Odwrócił się i wbił wzrok w Andrika.

– Twój brat, ukochany braciszek, wpadł dziś po południu; szukał cię.

Andrik starał się nie okazać poruszenia. Najtrudniej było opanować drżenie powiek i łaskotanie w kącikach ust. Wbił wzrok w noc po drugiej stronie szyby, w most zalany nieustającym deszczem.

– Złapał mnie, gdy otworzyłem drzwi. Nie wiedziałem jeszcze, że uciekłeś...

Andrik z całych sił powstrzymywał się, żeby nie mrugnąć, żeby w ogóle się nie poruszyć.

– Nieźle mnie przestraszył, bo go nie zauważyłem, a przecież to wielki facet. Gdy się zorientowałem, był już obok mnie. Pomyślałem najpierw, że to jakiś wariat, że-brak: oblepiony brudem, śmierdział zjełczałym mlekiem. Odwróciłem się, spojrzałem mu w oczy i wrzasnąłem: „Czego chcesz, gnoju? Spierdalaj stąd”. Zapuszczał żurawia do środka domu i pomyślałem sobie, że chce mnie obrabować. „Co żeś tam do cholery posiał, skurwysynu?” – wydarłem się znów i śmierdzący gnój się cofnął. Wtedy się zorientowałem, że to tylko dzieciak. „Szukam brata”, powiedział piskliwym głosikiem. Taki bydlak, a głos cieniutki jak u jakiegoś niedorozwoja. Jaja mu jeszcze nie zeszły.

„Zahir”, przeleciało Andrikowi przez głowę. Usta otwierały się, żeby wypowiedzieć każdy dźwięk składający się na to imię, ale je przygryzł, by do tego nie dopuścić. By się nie uśmiechnąć.

– „Jaki brat, do cholery?”, spytałem gówniarza. „Tu nie ma żadnego twojego brata”. Próbowałem znaleźć jakies podobieństwo, ale nic z tego. „Wiem, że jest u pana”, powiedział mi ten kretyn. Był zdenerwowany, ale poważny.

„Jest u pana, nie ma co kłamać”. „Spierdalaj jebać mamusię”, wrzasnąłem. „Zgłoszę pana na policję”.

Samochód wpadł na most na pełnej prędkości. Zderzak zazgrzytał o beton, a koła zastukały na odblaskowych obijaczach rozdzielających pasy ruchu. Z tego miejsca, z góry, miasto wyglądało jak gęstwina świateł rozmaranych w kolorowe plamy w zaciekach na szybie i załamanych oczach Andrika. Nieodległe morze natomiast zlewało się z nocą: najczarniejsza ciemność, bez linii horyzontu.

– Jeszcze czekał chwilę pod domem, nic nie mówił, jakby mi groził. Pomyślałem o sąsiadach i się wściekłem. Pomachałem do niego przez okno, trzymając telefon w ręku. Udałem, że dzwonię. „Policja?”, krzyknąłem, żeby ten dureń usłyszał. „Naćpany typek próbuje wejść mi do domu”. Pierdolony gówniarz odsunął się od okna i już nie wiedziałem, czy sobie poszedł, czy dalej tak stoi. Poczekalem jeszcze chwilę z telefonem w ręku, nie kłamię, nie chciałem cię szukać, nie chciałem zwołać cię po imieniu, na wszelki wypadek, gdyby ten gnój mnie szpiegował. Myślałem, że śpisz i dlatego nie schodzisz. Poczekalem jeszcze chwilę i podszedłem do drzwi, otworzyłem je, żeby sprawdzić, czy już go nie ma. Wtedy zobaczyłem twoje zdjęcie...

Przestało padać, tak nagle, że bezużyteczne wycieraczki zaskrzypiały donośnie na mokrej szybie.

– Leżało na chodniku przyciśnięte kamieniem, tuż przed drzwiami. Twoje zdjęcie sprzed... dwóch, trzech lat?

Jesteś na nim bardziej pulchniutki, ubrany w mundurek, z krótkimi włosami. Uśmiech, jakiego nigdy u ciebie nie widziałem, brakuje ci zęba, chyba kła, a może siekacza, ale to ty, ten sam. Te same jasnozielone, prawie żółte oczy, te piękne oczy...

Auto wtargnęło na sąsiedni pas. Opony znów uderzyły w linię odbłasków. Mężczyzna sapnął zaskoczony i szarpnął kierownicę, żeby wyprostować pojazd. Przycisnął pedał gazu, wierzchem dłoni ocierając kąciuki ust.

Zaśmiał się mimo woli.

– Wyrwę ci je...

Jego ręka szukała nadgarstka Andrika. Dłoń miał wilgotną i gorącą.

– Okłamałeś mnie, wszystko, co mi powiedziałeś...

– Nie, przysięgam, że nie...

Mężczyzna zgniótł mu nadgarstek.

– Nie kłam już!

– Nie kłamię! Nie mam brata!

Każde słowo bolało. Każda sylaba poszerzała dziurę w jego gardle.

– Nie mam nikogo!

Mężczyzna puścił jego rękę.

– Kim jest więc ten pieprzony gnojek?

– Nie wiem – odparł odruchowo Andrik.

– „Nie wiem” – przedrzeźniał go piskliwie mężczyzna. – Skąd wobec tego miał twoje zdjęcie? Dlaczego mi je zostawił, jakby to miał być jakiś dowód?

Andrik potarł nadgarstek. Poczul smak nadpływających łez. Milczał, a mężczyzna pokręcił głową i wcisnął gaz do dechy.

Samochód zjechał z mostu i włączył się do ruchu na głównej drodze za pikapem wiozącym robotników w kombinezonach. Andrik błagalnie spojrział na zaspane twarze stłoczonych na pace mężczyzn, ale żaden z nich nie zajrzał do środka jadącego za nimi samochodu. Mężczyzna musiał raptownie zahamować, żeby nie uderzyć w pikapa, który jechał wolniej. Wydając niecierpliwe pomruki, kilkakrotnie zatrąbił, po czym gwałtownie przyspieszył, wjechał na sąsiedni pas i wyprzedził z prawej.

Przy drodze nie było żadnych domów ani sklepów, tylko niekończąca się barierka, która kilometr za kilometrem przesuwała się za oknem od strony Andrika. Za nią widać było ciemne cielska portowych silosów i sterty zardzewiałych, zniszczonych kontenerów. Przy barierce rosły też szeregi powykręcanych rzewni, zdeformowanych przez bezlitosny wiatr od morza. Ich pierzaste gałęzie pełne pachnących igieł wyglądały posępnie pod wyblakłym światłem ulicznych latarni, które nadal działały w samym środku sezonu burz.

Andrikowi pulsowało w skroniach. Prawie nie mógł oddychać: pierś wypełniała się powietrzem i opróżniała ze świstem, czuł, że się dusi. Mimo mdłości zamknął oczy.

A nie mówiłam?

„Zamknij się”, błagał Andrik w myślach.

Coś się dzieje.

„Przestań, proszę”.

Ostrzegał cię, powiedział ci pierwszej nocy: „Jeden durny wyskok i odstawię cię na policję”.

Dobrze to pamiętał.

Powie, że złapał cię, gdy szabrowałeś mu dom. Zamkną cię. Albo gorzej: odwiozą z powrotem do ciotki.

„Powiem im prawdę”, pomyślał. „Powiem, że mnie porwał, że zmuszał mnie...”

Czy głos się roześmiał? To był przyjemny dźwięk, czysty jak kryształ. Potrząsnął głową, żeby zmusić go do milczenia.

On ma pieniądze, a ty nie, musisz to zrozumieć. On jest dorosły, a ty nie. Myślisz, że komu uwierzą?

„Ale on mnie kocha – odparował Andrik. – Naprawdę mnie kocha. Popatrz tylko, wyszedł z domu w samym środku burzy, żeby mnie odnaleźć. I mnie znalazł”.

Żeby się zemścić.

„Nie, chce mnie tylko przestraszyć”, westchnął Andrik.

Był pewien, że w końcu mężczyzna zmęczy się tą zabawą, jak zawsze męczył się scenami, które często kazał mu odgrywać w sypialni. W końcu zawróci gwałtownie, wyciągnie okulary z kieszeni koszuli, z nieśmiałym uśmiechem założy je na nos i zawiezie Andrika z powrotem do domu. Wycisnie z niego trochę krwi, parę łez i tyle, to mu wystarczy. Zwykła rutyna, przewidywalna i pocieszająca.

Tym razem jest inaczej.

Samochód zwolnił. Andrikowi wyrwało się z piersi westchnienie.

„Widzisz? Mówiłem przecież, że nic się nie dzieje, już wracamy”, pomyślał.

Ten durny głos ponownie się zaśmiał, tak szczerze i złośliwie, że włoski na karku chłopaka stanęły dęba.

Na pewno, laleczko?

Zamiast skręcić w lewo, w stronę świateł na moście, mężczyzna wprowadził samochód w wysypany piaskiem prześwit między powykręcanyymi rzewniami. Nie było tam latarni; nic poza kilkoma drewnianymi tabliczkami wbitymi w pnie drzew. Szkarłatne litery na moment błysnęły w światłach samochodu:

WITAJCIE NA PLAŻY PUŁNOCNEJ
ZAKAZ PLYWANIA, SILNE PRONDY

Wulgarna czaszka, również narysowana rdzawym kolorem, uśmiechała się do Andrika zębami przezarty-mi pleśnią.

Nie, chyba nie wracamy do domu...

Mężczyzna w milczeniu prowadził samochód po nieubitej drodze. Gdy ta się skończyła, pojechał środkiem plaży. Piasek był wilgotny, ciemny i ciężki, wydawał się bardziej gotowy do wysiania w nim ziaren niż do przyjmowania fal, które z hałasem uderzały jakieś dzie-sięć metrów od okna Andrika. Zielonkawa czerń morza zwieńczona żółtawą pianą huczała za szybą, ale chłopak

nawet tego nie słyszał. Niebo również było ciemne, ołowiane. Przystało padać: burzowe chmury z wielką prędkością oddalały się od wybrzeża. Rozbłyskiwały piorunami w chyżej ucieczce w stronę gór na północy.

Ubranie Andrika nadal było mokre, a teraz jeszcze lało mu się z nosa. Klimatyzacja wywołała drapanie w gardle, ale nie ośmielił się poprosić o jej wyłączenie. To czysty przypadek, że skończył przemoczony: najpierw nasiąkł wodą w toalecie na targowisku podczas napadu, a potem zaskoczyła go burza, gdy szedł ulicami wzdłuż torów, szukając drogi na rondo z wkurwionym señorem, jak go nazywał Łysy.

W tamtym momencie nie miał pojęcia, co ma ze sobą zrobić, dokąd pójść. A gdy dokuczliwy wiatr zaczął trząść koronami drzew i grube krople deszczu zmieniły barwę chodnika, Andrik mógł tylko wtulić głowę w ramiona i przyspieszyć kroku w stronę rozświetlonej alei. Liczył, że znajdzie tam jakieś schronienie, wiatę przystanku, która osłoni go przed deszczem, ale ten szybko zmienił się w okrutną ulewę. Porywy wiatru smagały ciało Andrika ciepłą wodą i po kilku minutach był przemoczony do suchej nitki. Postanowił iść dalej, mimo ulewy i piorunów – co za różnica, że zapadał się po kostki w wirach kałuż, skoro i tak jego tenisówki były zupełnie mokre. Pragnął już tylko dotrzeć do ronda i skulić się pod pomnikiem tego gościa o surowych wąsach, który posepnie wpatrywał się w horyzont i pełen furii wyciągał oskarżycielsko palec dokładnie w stronę

miejsca, w którym chłopcy łapali klientów. Tam będzie czekał, aż ktoś go zagada, to nigdy nie zawodziło. Ładny był z niego chłopak, zapewniał go Łusy. Nie musiał wracać do domu ciotki Idalii, jeśli nie miał na to ochoty. Tu, na rondzie, było sporo kasy, jeśli umiało się po nią sięgnąć i nie bało się ciężkiej pracy. Łusy nauczył Andrika wszystkiego, co trzeba.

– Jeśli w aucie jest więcej niż jeden facet, nie waz się wsiadać. Jeśli jest tylko jeden, ale młody i ma niezły wózek, nie bierzemy, bo będzie tłukł. Jeśli facet wiezie babkę, to znaczy, że chce patrzeć, jak ją dupczysz, ni chuja, to podwójna stawka, e? Nie ma co strugać głupka. Faceci, którzy przychodzą na piechotę albo przyjeżdżają w starym złomie, są najlepsi. Czasami już im nie staje.

Z całej dzielnicy tylko Łusy mu pomógł, gdy musiał uciec z domu ciotki. Zahir powiedział, że zwieje razem z nim, i dlatego Andrik czekał na niego w parku przez całą noc i sporą część następnego poranka. Nigdy jednak się nie zjawił, a głód i strach wzięły górę. Łusy w trymiga znalazł mu tenisówki, o wiele za duże, a potem całe popołudnie udzielał rad między kolejnymi sztachnięciami kleju z torebki. Gdy zapadła noc, wysłał go na rondo „wkurwionego señora”. Sam nie mógł go tam zaprowadzić – chłopaki prosiły, żeby trzymał się od tego miejsca z daleka. Mówiły, że jego rany odstraszą klientów.

– Gdy auto się zatrzymuje, zaglądamy do środka, żeby uważnie przyjrzeć się jego mordzie, sprawdzić, czy

się sztacha, czy pali, czy jest tam ktoś jeszcze. Zaciskamy szczęki, o tak właśnie, otwieramy oczy w ten sposób i się uśmiechamy, aha, świetnie to robisz. Tak układamy ramię i pochylamy się, żeby widzieli, że jesteśmy chudzińki, że nie mamy włosów, to ich kręci, tych pierdolonych pojebów.

Gdy wreszcie tam dotarł, miejsce było opuszczone. Nie udało mu się osuszyć, bo deszcz nie przestawał padać; w pewnym momencie zmienił się w coś w rodzaju gęstej bryzy zawisłej w powietrzu, która powodowała, że ciekło mu z nosa. Nie zatrzymał się żaden samochód, nikt nawet nie zwolnił, żeby pospiesznie przyjrzeć mu się zmrużonymi oczami. Kiedy się ściemniło, ruch się nieco wzmógł i światła aut barwiły mżawkę na białe, żółte i czerwono. Ubranie zwisało na Andriku, było ciężkie i niewygodne. Na stopniach pomnika znalazł porzuconą czapkę z daszkiem – pewnie zapomniał jej któryś z chłopaków. Wycisnął ją trochę przed założeniem na głowę. Był zupełnie wyczerpany i sam nie wiedział, kiedy zasnął, z głową opartą o ramiona obejmujące kolana. Czasami opanowywały go dreszcze, mimo że deszcz był ciepły. Nie wiedział, ile czasu tak spędził, ukołysany przez klaksony i hałas z rur wydechowych. Gdy się obudził, było już późno i ruch zmalął. Po drugiej stronie ulicy ktoś dawał mu znaki światłami samochodu: to było żółte auto mężczyzny, on sam siedział za kierownicą i patrzył na Andrika błagalnie, ze zmarszczonymi brwiami.

Sięgnij po więcej!



 www.mova.com.pl

 facebook.com/wydawnictwo.mova

 instagram.com/wydawnictwomova